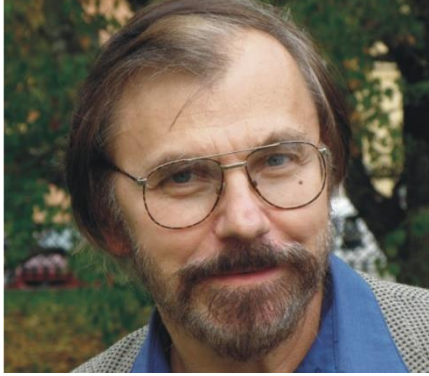


Listy do Pani A. (178)



Fot. Andrzej Dębowski

Poetyckie korzonki

Droga Pani!

Aby trochę oderwać się od rzeczywistości, przenoszę się w czasy, które w swoich wspomnieniach „Dziwne jest serce kobiece” opisuje Zofia z Odrowąż-Pieniążków Skąpska. Ania mi sprowadziła tom trzeci. Dwa pierwsze mam i przeczytałam. Zebrał je i opracował wnuk autorki, Rafał Skąpski, który był ostatnio dyrektorem PIW-u. Bardzo sympatyczny, pełen kultury człowiek. Poznałem go, kiedy przychodził do Marka Wawrzkiwicza. Niejednokrotnie wszyscy trzej popijaliśmy jakieś spirytualia i rozmawiali. Kiedyś po takim spotkaniu wyszedłem wcześniej i nie zauważyłem, że w kilka chwil po mnie wyszedł i Rafał. Wsiadłem do autobusu, a on do tego samego. Trudno się dziwić, że go nie zauważyłem. Wsiadłem wcześniej, i... przewróciłem się na trotuar. Potem Rafał Skąpski mówił, że widział, jak po naszym spotkaniu słuchałem płyt chodnikowych. Nie zdążył za mną wyskoczyć, bo autobus ruszył.

Czytając te wspomnienia, żałowałem często, że nie byłam domownikiem Pani Zofii Skąpskiej. Ach, te torty, wypieki, mięsiwa, desery... Oczywiście, nie tylko to tak bardzo mnie frapowało. Ale cóż, pewnie bym się już dawno przekręcił w stronę lepszej rzeczywistości po takiej diecie. Cieszę się zatem, że jeszcze „po tej stronie”, mogę do Pani pisać.

Ostatnio – znowu jestem w dawniejszych czasach – delektuję się książką Józefa Hena „Boy-Żeleński, błazen – wielki mąż”. Porównuję pewne cechy pisarskich osobowości, i widzę wyraźnie, że właściwie niewiele się (albo nic) zdezaktualizowało. Tak więc stale jestem we... współczesności. Te same fobie, animozje, intryżki, dystrakcje. Rozbawiła mnie pewna scena, którą Józef Hen przytacza. Oto doktor Tadeusz Żeleński, był wówczas początkującym pediatrą, został wezwany do domu wybitnego aktora Jerzego Leszczyńskiego, ponieważ zachorowała jego mała córka. Pan Żeleński dokładnie zbadał niemowlę. Wahając się spytał, czy może zjadła nieświeżą rybę? Zdziwiono się, bo jak to,

niemowlę rybę? Wtedy pan Tadeusz postawił wiekopomną diagnozę: „trzeba wezwać doktora”. Boy nie był genialnym lekarzem, ale za to wybitnym pisarzem, tłumaczem, publicystą, felietonistą, humorystą. Rychło więc odszedł od praktyki lekarskiej. Pomyślałem sobie, że mamy podobnych „fachowców” również w literaturze, jak Boy podówczas w medycynie. Czytając dziś niektóre wiersze na portalach, a nawet w tomikach, chciałoby się zakrzyknąć: „trzeba tu wezwać poetę!” Ale jest jednak pewna różnica. Grafomani nie zagrażają życiu. Może tylko wewnętrznie, ale na to trzeba się uodpornić.

Nasza współczesność także nie jest łatwa. Nie wszyscy są w stanie orientować się w gąszczu literackich zagadnień (o inne sprawy nie chodzi mi prawie wcale). Z drugiej strony to wszystko jest w zasadzie normalne. Inna przecież była poetyka Grochowiaka, inna Nowej Fali, a jeszcze inna Nowej Prywatności... Zresztą pisarze także ewoluują w obrębie własnej twórczości. Nie można więc tego wszystkiego traktować mechanicznie. Ale z drugiej strony nie można też zbyt przesadzać i demonizować. Pani nie pamięta tamtych czasów, kiedy za wszelką cenę unikano spraw drażliwych politycznie, bo z góry było wiadomo, że i tak cenzura to zatrzyma. A więc pisano o niektórych problemach w sposób zakamuflowany, albo robiono uniki. I to nie tylko w naszych czasach. Np. Prus nie pisał o Rosjanach i oficerach rosyjskich, których pełno było w Warszawie. Ignorował ten fakt, ale nikt mu z tego powodu nie czynił zarzutów.

Za czasów komunizmu (w zasadzie nie był to czysty komunizm tylko jakiś sowiecki zły bękart) w obiegu oficjalnym publikowali też ci, którzy potem byli wyraźnie opozycyjni. Wtedy zamykali sobie drogę do publikacji w kraju. Były najrozmaitsza „zapisy”, ale przecież nie dotyczyły one wszystkich, a czasami cenzura albo się nie połapała, albo chciała okazać się „liberalna”. Porównałbym to, w dużym uproszczeniu, do zabawy niewypałem. Albo się go nie podnosiło, albo bardzo ostrożnie; albo urwało ręce, albo się człowiek uchował w całości. To nie żadna kolaboracja tylko zwykły rozsądek. Takie czasy były... Wspomniany wyżej mój ulubiony pisarz Bolesław Prus pomimo wszystko zachował obie łapki. Wniosek z tego wszystkiego taki, że nic nie jest jednoznaczne. Nawet wartości uznawane powszechnie za fundamentalne. Tak w interpretacjach, jak i w życiu.

Jednoznaczna jest natomiast narastająca wokół nas pustka. W poprzednim liście wspominałem Pani o Staszku Nyczaju, teraz muszę wspomnieć inną, bolesną rocznicę – rocznicę śmierci Aleksandra Nawrockiego.

Źle powiedziałem. Ta narastająca pustka wcale nie jest jednoznaczna. To jakaś tajemnica, jakaś niewiadoma, którą można do pewnego stopnia pojąć w świetle Wielkiej Nocy, i to wcale nie w sensie ściśle religijnym, ale egzystencjalnym. Pytamy, czym jest życie, do czego prowadzi, jakiej natury jest to zjawisko. I najważniejsze: czy rzeczywiście oznacza kres? To wciąż tajemnica. A ponieważ tajemnicą pozostaje – niesie ze sobą nadzieję,

choćby nawet była ona tylko naszym marzeniem.

Aleksander był przez lata obecny w życiu literackim. Poznałem go w 1966 roku, później jeździliśmy, razem z jego żoną Barbarą, na rozmaite imprezy literackie. Pamiętam nasze wypadki do Opinogóry, do Gołotczyzny, gdzie kiedyś mieszkał Aleksander Świętochowski; do Ciechanowa, do Płocka. W Płocku prowadziłem kiedyś wieczór poezji jego, od 2004 roku nieżyjącego, brata Stanisława. Wspólnie działaliśmy w redakcji „Poezji Dzisiaj”, którą Aleksander założył w miejsce dawnej „Poezji”. Niezapomniane były festiwale, które organizował. Światowy Dzień Poezji oraz Festiwal Poezji Słowiańskiej zapisały się trwale w historii współczesnej polskiej literatury oraz w pamięci uczestników. Wydawało mi się nieraz, że dostrzegam Panią wśród zgromadzonej publiczności. Nie wiem, czy była Pani realnie obecna, czy tylko pojawiała się piękna fantomorgana.

Jedną z wypraw literackich wraz z Aleksandrem zaowocowała mi wierszem „Rozmowa poetów”. Zaczyna się od prostego, ale prawdziwego opisu: *w lesie pod płockiem / wysiadamy z samochodu / i przechadzając się rozmawiamy o poezji*. Brzmi to podniosłe. Teraz mogę Pani zdradzić, na czym polega tu licentia poetica. Otóż istotnie wysiedliśmy z samochodu w lesie, ale bezpośredni powód tego postępu był nieco inny, nie aż tak lirycznie wzniosły. Trzeba było po prostu opróżnić pęcherze. Oczywiście rozmawialiśmy. O wszystkim. O poezji także. Jak Pani widzi, wiersze to w dużej mierze szlachetne, liryczne łgarstwo. Ale też najpiękniejsze kwiaty często zakorzenione są w niekoniecznie apetycznych podłożach.

Czytanie utworów w „Literatce”, wspólne obiady i kolacje, na których zbierali się wszyscy uczestniczący w festiwalach poeci, to było właśnie to, co pisarzom jest potrzebne jak powietrze. Teraz nie ma już festiwali, nie ma Aleksandra, za to jest covid, który pozrywał dawne więzy i kontakty. Szaleje do dzisiaj. Z ostrożności się izoluję, już od dwóch przeszło lat. A Pani? Proszę uważać na siebie!

Tymczasem nieśmiało zaczyna zielenić się wiosna. Jest kilka do kilkunastu stopni, trochę pada, forsycje kwitną, raz słońce, raz ponura szarość. Jak w życiu. Jednak szarość wiosenna jest bardziej optymistyczna niż jesienna. Wprawdzie nie lubię przesuwania godziny do przodu (wolę zegarek cofać), ale się człowiek do wszystkiego przyzwyczaja. Najważniejszą rzeczą jest akceptowanie wszystkiego, na co się nie ma wpływu. Ta akceptacja nie burzy optymizmu (oby tylko nie był zbyt wielki i bezkrytyczny).

Zdystansowanej obserwacji świata, zdrowia i zauważania pozytywów tam nawet, gdzie inni ich nie dostrzegają, życzę Pani wraz z najpiękniejszą porą roku –

Stefan Jurkowski

